

przedstawienia

# Tylko śmierć

Wojciech Majcherek

Oglądałem *Anioły w Ameryce* w Teatrze im. Horzycy w Toruniu i nie mogłem się oprzeć wrażeniu, że utwory, które zdobywają sławę dzięki skandaliczności politycznej czy obyczajowej, mają żywot równie głośny, co krótki. Sztuka Tony Kushnera miała prapremierę w Kalifornii 10 lat temu, obiegała wiele scen na świecie (sam ją widziałem w Helsinkach). W Polsce wystawiono ją po raz pierwszy kilka lat temu w Teatrze Wybrzeże w Gdańsku. Nie wiem, prawdę mówiąc, jaką się cieszy popularnością dzisiaj, gdy trawstując podtytuł dramatu: „nowe tysiąclecie nadeszło”. Wydaje się jednak, że wiele problemów, które Kushner poruszył, nie budzi takich emocji jak w początkach dekady. Przede wszystkim jeden z bohaterów sztuki, który się w niej fizycznie nie pojawia, ale który wyraźnie ciąży nad rzeczywistością ukazaną w *Aniołach*... – Ronald Reagan – jest już tylko historycznym wspomnieniem. Swoją drogą, czyż życie nie dopisało paradoksalnego epilogu do sztuki Kushnera, skazując słynnego prezydenta USA na jedną z najsmutniejszych (jeśli tak można się wyrazić) chorób współczesności? Ameryka w minionych 10 latach miała prezydenta, pewnie bliższego sercu Kushnera, którego przygody odkryły jeszcze inne

For: Wojciech Szabelski

o niej prawdy. Problem, który wyznacza dramatyczny horyzont *Aniołów w Ameryce*: epidemia AIDS, również nie wywołuje tak wielkich lęków (co nie znaczy, że choroba przestała być groźna i należy przejść do porządku dziennego nad tragediami ludzi, którzy na nią zapadli). Wreszcie kwestia homoseksualizmu w wielu dziełach sztuki stawiana jest z jeszcze większą niż u Kushnera otwartością.

Tak więc wierzchnia warstwa *Aniołów*..., którą tworzą amerykańskie realia końca lat 80., jakby nieco się wytarła. Zorientował się w tym reżyser toruńskiego przedstawienia – Marek Fiedor. Na pewno nie miał ambicji zrobienia spektaklu o Ameryce i jej fobiach, co byłoby w polskim teatrze groteskowe, zważywszy na wciąż panujący u nas mit Ameryki jako kraju wolnego, bogatego i szczęśliwego (nie mówiąc o tym, że zaraz by się znaleźli tropiciele „żydowsko-pedalskich” treści sztuki). Reżysera nie kusila też chęć skandalizowania w duchu tzw. nowego brutalizmu. Fiedor w *Aniołach w Ameryce* podjął temat najistotniejszy i najbardziej uniwersalny: śmierć. Bohaterowie sztuki, niezależnie od tego, kim są, czy są ważni, czy nie, jakie mają preferencje seksualne, jakiego są pochodzenia i wyznania – stają wobec doświadczenia umierania. Straszna choroba sprawia, że to doświadczenie jest tym bardziej dojmujące, nie tylko zresztą dla osób, których bezpośrednio dotyka, ale również dla ich bliskich. Dla wszystkich jest próbą. Rzecz charakterystyczna: Fiedor rozegrał *Anioły w Ameryce* bez gorączkowych emocji. W grze aktorów nie ma nic z tzw. bebeczków, choć przecież ich bohaterami targają uczucia strachu, rozpacz, braku nadziei. Jakże powściągliwie Sławomir Maciejewski nakreślił postać umierającego na AIDS homoseksualisty, Piora. Na przekór zbliżającej się śmierci ten człowiek, choć samotny i napiętnowany, zachowuje godność. Paradoksalnie wydaje się silniejszy od swego przyjaciela Louisa (Paweł Kowalski), któ-

ry nie wytrzymuje próby miłości. Jacek Polaczek, aktor Teatru Współczesnego w Szczecinie, gościnnie zagrał rolę wpływowego prawnika Roya M. Cohna. Nie wiadomo właściwie, co go bardziej niszczy: AIDS czy cynizm. Nawet w obliczu śmierci rozprawia się z wyrzutami sumienia. W tym świecie zła i szerzącej się śmierci zagubiony wydaje się Joe Porter Pitt (Michał Marek Ubysz). Ze swoimi mormońskimi zasadami, pokusami kariery, żoną uzależnioną od valium, ukrytym homoseksualizmem nie wie, kim jest.

Tak jak chciał autor *Aniołów w Ameryce*, inscenizacja jest oszczędna, a scenografia skromna. Wyznaczają ją w małej przestrzeni sceny klatki-mansjony umownie sygnalizujące kolejne miejsca akcji. Monochromatyczny, ciemny obraz całości nadaje spektaklowi nastrój powagi, wręcz elegijny. Jedna rzecz go psuje. W antarktycznych halucynacjach żony Pitta, Harper (Karina Krzywicka), pojawiają się nie jak u Kushnera Eskimosi (swoją drogą, skąd Eskimosi na Antarktydzie?), ale pingwiny. W toruńskim spektaklu przypominają one żywo reklamy kuponów jednej z firm telefonii komórkowej. Efekt niepotrzebnie chyba ośmiesza nieblahe problemy, z którymi bohaterka się boryka.

I jeszcze jedna sprawa: tekst sztuki kończy się przewrotną wizją apokalipsy, jak mówi Prior: „bardzo w stylu Stevena Spielberga”. Fiedor nie chciał, i słusznie, podobnie zbudować finału swego spektaklu, ale mógł widzom darować metafizykę anielskiej pieśni na syntezatorach.

Teatr im. Wilama Horzycy w Toruniu: *ANIOŁY W AMERYCE* Tony Kushnera. Przekład: Marta Gil-Gilewska. Reżyseria: Marek Fiedor, scenografia: Monika Jaworowska, muzyka: Tomasz Hynek. Premiera 30 IX 2000.



Anna Magalska-Milczarczyk (Emily), Sławomir Maciejewski (Prior)

1/2000/1

TORUN

TEATR  
Nr 11 listopad 2000

przedstawienia

2000/11

9

# Tylko śmierć

Wojciech Majcherek

Oglądałem *Anioły w Ameryce* w Teatrze im. Horzycy w Toruniu i nie mogłem się oprzeć wrażeniu, że utwory, które zdobywają sławę dzięki skandaliczności politycznej czy obyczajowej, mają żywot równie głośny, co krótki. Sztuka Tony Kushnera miała prapremierę w Kalifornii 10 lat temu, obiegała wiele scen na świecie (sam ją widziałem w Helsinkach). W Polsce wystawiono ją po raz pierwszy kilka lat temu w Teatrze Wybrzeże w Gdańsku. Nie wiem, prawdę mówiąc, jaką się cieszy popularnością dzisiaj, gdy, trawstując podtytuł dramatu: „nowe tysiąclecie nadeszło”. Wydaje się jednak, że wiele problemów, które Kushner poruszył, nie budzi takich emocji jak w początkach dekady. Przede wszystkim jeden z bohaterów sztuki, który się w niej fizycznie nie pojawia, ale który wyraźnie ciąży nad rzeczywistością ukazaną w *Aniolach*... – Ronald Reagan – jest już tylko historycznym wspomnieniem. Swoją drogą, czyż życie nie dopisało paradoksalnego epilogu do sztuki Kushnera, skazując słynnego prezydenta USA na jedną z najsmutniejszych (jeśli tak można się wyrazić) chorób współczesności? Ameryka w minionych 10 latach miała prezydenta, pewnie bliższego sercu Kushnera, którego przygody odkryły jeszcze inne

o niej prawdy. Problem, który wyznacza dramatyczny horyzont *Aniolów w Ameryce*: epidemia AIDS, również nie wywołuje tak wielkich lęków (co nie znaczy, że choroba przestała być groźna i należy przejść do porządku dziennego nad tragediami ludzi, którzy na nią zapadli). Wreszcie kwestia homoseksualizmu w wielu dziełach sztuki stawiana jest z jeszcze większą niż u Kushnera otwartością.

Tak więc wierzchnia warstwa *Aniolów*..., którą tworzą amerykańskie realia końca lat 80., jakby nieco się wytarła. Zorientował się w tym reżyser toruńskiego przedstawienia – Marek Fiedor. Na pewno nie miał ambicji zrobienia spektaklu o Ameryce i jej fobiach, co byłoby w polskim teatrze groteskowe, zważywszy na wciąż panujący u nas mit Ameryki jako kraju wolnego, bogatego i szczęśliwego (nie mówiąc o tym, że zaraz by się znaleźli tropiciele „żydowsko-pedalskich” treści sztuki). Reżysera nie kusila też chęć skandalizowania w duchu tzw. nowego brutalizmu. Fiedor w *Aniolach w Ameryce* podjął temat najistotniejszy i najbardziej uniwersalny: śmierć. Bohaterowie sztuki, niezależnie od tego, kim są, czy są ważni, czy nie, jakie mają preferencje seksualne, jakiego są pochodzenia i wyznania – stają wobec doświadczenia umierania. Straszna choroba sprawia, że to doświadczenie jest tym bardziej dojmujące, nie tylko zresztą dla osób, których bezpośrednio dotyka, ale również dla ich bliskich. Dla wszystkich jest próbą. Rzecz charakterystyczna: Fiedor rozegrał *Anioły w Ameryce* bez gorączkowych emocji. W grze aktorów nie ma nic z tzw. bebechów, choć przecież ich bohaterami targają uczucia strachu, rozpacz, braku nadziei. Jakże powściągliwie Sławomir Maciejewski nakreślił postać umierającego na AIDS homoseksualisty, Piora. Na przekór zbliżającej się śmierci ten człowiek, choć samotny i napiętnowany, zachowuje godność. Paradoksalnie wydaje się silniejszy od swego przyjaciela Louisa (Paweł Kowalski), któ-

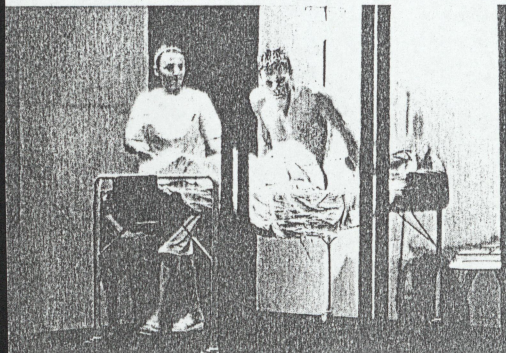
ry nie wytrzymuje próby miłości. Jacek Polaczek, aktor Teatru Współczesnego w Szczecinie, gościnnie zagrał rolę wpływowego prawnika Roya M. Cohna. Nie wiadomo właściwie, co go bardziej niszczy: AIDS czy cynizm. Nawet w obliczu śmierci rozprawia się z wyrzutami sumienia. W tym świecie zła i szerzącej się śmierci zagubiony wydaje się Joe Porter Pitt (Michał Marek Ubysz). Ze swoimi mormońskimi zasadami, pokusami kariery, żoną uzależnioną od valium, ukrytym homoseksualizmem nie wie, kim jest.

Tak jak chciał autor *Aniolów w Ameryce*, inscenizacja jest oszczędna, a scenografia skromna. Wyznaczają ją w malej przestrzeni sceny klatki-mansjony umownie sygnalizujące kolejne miejsca akcji. Monochromatyczny, ciemny obraz całości nadaje spektaklowi nastrój powagi, wręcz elegijny. Jedna rzecz go psuje. W antarktycznych halucynacjach żony Pitta, Harper (Karina Krzywicka), pojawiają się nie jak u Kushnera Eskimosi (swoją drogą, skąd Eskimosi na Antarktydzie?), ale pingwiny. W toruńskim spektaklu przypominają one żywo reklamy kuponów jednej z firm telefonii komórkowej. Efekt niepotrzebnie chyba ośmiesza nieblahe problemy, z którymi bohaterka się boryka.

I jeszcze jedna sprawa: tekst sztuki kończy się przewrotną wizją apokalipsy, jak mówi Prior: „bardzo w stylu Stevena Spielberga”. Fiedor nie chciał, i słusznie, podobnie zbudować finału swego spektaklu, ale mógł widzom darować metafizykę anielskiej pieśni na syntezatorach.

Teatr im. Wilama Horzycy w Toruniu: *ANIOŁY W AMERYCE* Tony Kushnera. Przekład: Marta Gil-Gilewska. Reżyseria: Marek Fiedor, scenografia: Monika Jaworowska, muzyka: Tomasz Hynek. Premiera 30 IX 2000.

For: Wojciech Szabelski



Anna Magalska-Milczarczyk (Emily), Sławomir Maciejewski (Prior)

# Tylko śmierć

Wojciech Majcherek

Oglądałem *Anioły w Ameryce* w Teatrze im. Horzycy w Toruniu i nie mogłem się oprzeć wrażeniu, że utwory, które zdobywają sławę dzięki skandaliczności politycznej czy obyczajowej, mają żywot równie głośny, co krótki. Sztuka Tony Kushnera miała prapremierę w Kalifornii 10 lat temu, obiegła wiele scen na świecie (sam ją widziałem w Helsinkach). W Polsce wystawiono ją po raz pierwszy kilka lat temu w Teatrze Wybrzeże w Gdańsku. Nie wiem, prawdę mówiąc, jaką się cieszy popularnością dzisiaj, gdy, trawstując podtytuł dramatu: „nowe tysiąclecie nadeszło”. Wydaje się jednak, że wiele problemów, które Kushner poruszył, nie budzi takich emocji jak w początkach dekady. Przede wszystkim jeden z bohaterów sztuki, który się w niej fizycznie nie pojawia, ale który wyraźnie ciąży nad rzeczywistością ukazaną w *Aniołach*... – Ronald Reagan – jest już tylko historycznym wspomnieniem. Swoją drogą, czyż życie nie dopisało paradoksalnego epilogu do sztuki Kushnera, skazując słynnego prezydenta USA na jedną z najsmutniejszych (jeśli tak można się wyrazić) chorób współczesności? Ameryka w minionych 10 latach miała prezydenta, pewnie bliższego sercu Kushnera, którego przygody odkryły jeszcze inne

For: Wojciech Szabelski



Anna Magalska-Milczarczyk (Emily), Sławomir Maciejewski (Prior)

o niej prawdy. Problem, który wyznacza dramatyczny horyzont *Aniołów w Ameryce*: epidemia AIDS, również nie wywołuje tak wielkich lęków (co nie znaczy, że choroba przestała być groźna i należy przejść do porządku dziennego nad tragediami ludzi, którzy na nią zapadli). Wreszcie kwestia homoseksualizmu w wielu dziełach sztuki stawiana jest z jeszcze większą niż u Kushnera otwartością.

Tak więc wierzchnia warstwa *Aniołów*..., którą tworzą amerykańskie realia końca lat 80., jakby nieco się wytarła. Zorientował się w tym reżyser toruńskiego przedstawienia – Marek Fiedor. Na pewno nie miał ambicji zrobienia spektaklu o Ameryce i jej fobiach, co byłoby w polskim teatrze groteskowe, zważywszy na wciąż panujący u nas mit Ameryki jako kraju wolnego, bogatego i szczęśliwego (nie mówiąc o tym, że zaraz by się znaleźli tropiciele „żydowsko-pedalskich” treści sztuki). Reżysera nie kusila też chęć skandalizowania w duchu tzw. nowego brutalizmu. Fiedor w *Aniołach w Ameryce* podjął temat najistotniejszy i najbardziej uniwersalny: śmierć. Bohaterowie sztuki, niezależnie od tego, kim są, czy są ważni, czy nie, jakie mają preferencje seksualne, jakiego są pochodzenia i wyznania – stają wobec doświadczenia umierania. Straszna choroba sprawia, że to doświadczenie jest tym bardziej dojmujące, nie tylko zresztą dla osób, których bezpośrednio dotyka, ale również dla ich bliskich. Dla wszystkich jest próbą. Rzecz charakterystyczna: Fiedor rozegrał *Anioły w Ameryce* bez gorączkowych emocji. W grze aktorów nie ma nic z tzw. bebeczków, choć przecież ich bohaterami targają uczucia strachu, rozpacz, braku nadziei. Jakże powściągliwie Sławomir Maciejewski nakreślił postać umierającego na AIDS homoseksualisty, Priora. Na przekór zbliżającej się śmierci ten człowiek, choć samotny i napiętowany, zachowuje godność. Paradoksalnie wydaje się silniejszy od swego przyjaciela Louisa (Paweł Kowalski), któ-

ry nie wytrzymuje próby miłości. Jacek Polaczek, aktor Teatru Współczesnego w Szczecinie, gościnnie zagrał rolę wpływowego prawnika Roya M. Cohna. Nie wiadomo właściwie, co go bardziej niszczy: AIDS czy cynizm. Nawet w obliczu śmierci rozprawia się z wyrzutami sumienia. W tym świecie zła i szerzącej się śmierci zagubiony wydaje się Joe Porter Pitt (Michał Marek Ubysz). Ze swoimi mormońskimi zasadami, pokusami kariery, żoną uzależnioną od valium, ukrytym homoseksualizmem nie wie, kim jest.

Tak jak chciał autor *Aniołów w Ameryce*, inscenizacja jest oszczędna, a scenografia skromna. Wyznaczają ją w małej przestrzeni sceny klatki-mansjony umownie sygnalizujące kolejne miejsca akcji. Monochromatyczny, ciemny obraz całości nadaje spektaklowi nastrój powagi, wręcz elegijny. Jedna rzecz go psuje. W antarktycznych halucynacjach żony Pitta, Harper (Karina Krzywicka), pojawiają się nie jak u Kushnera Eskimosi (swoją drogą, skąd Eskimosi na Antarktydzie?), ale pingwiny. W toruńskim spektaklu przypominają one żywo reklamy kuponów jednej z firm telefonii komórkowej. Efekt niepotrzebnie chyba ośmiesza niebłahę problemę, z którymi bohaterka się boryka.

I jeszcze jedna sprawa: tekst sztuki kończy się przewrotną wizją apokalipsy, jak mówi Prior: „bardzo w stylu Stevena Spielberga”. Fiedor nie chciał, i słusznie, podobnie zbudować finału swego spektaklu, ale mógł widzom darować metafizykę anielskiej pieśni na syntezatorach.

Teatr im. Wilama Horzycy w Toruniu: *ANIOŁY W AMERYCE* Tony Kushnera. Przekład: Marta Gil-Gilewska. Reżyseria: Marek Fiedor, scenografia: Monika Jaworowska, muzyka: Tomasz Hynek. Premiera 30 IX 2000.

2000/01